Nr 2
21. VII. 1946 r.

TYDZIEŃ

Cena 8 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



Most Księcia Józefa Poniatowskiego wybudowany w 1913 r., wysadzony w powietrze przez cofające się wojska rosyjskie w r. 1915, a odbudowany po odzyskaniu Niepodległości.

W 1939 r. podziurawiony przez bomby niemieckie, przetrwał okupację. Zniszczony przez Niemców w 1944 r.

Zbiorowym wysiłkiem i ofiarnością robotników i inżynierów polskich, został odbudowany i oddany do użytku w drugą rocznicę Odrodzenia Polski.

Dzień otwarcia, jest nie tylko pierwszym widomym znakiem odbudowy Stolicy, ale również radosnym świętem zarówno dla mieszkańców Warszawy, jak i dla tych, których los rozproszył po całej Polsce.

DEMOKRACJA ALE JAKA?

„Nasze pismo postawiło sobie ambitny zamiar. Stać się trybuną niezależnej opinii publicznej" („Tydzień" Nr 1 z dnia 14.7.1946 r.).

Zgodnie z zasadą, wyrażoną w pierwszym numerze naszego pisma otwieramy dyskusję na temat: **Demokracja, ale jaka?**

Zamieszczając poniższy artykuł, oczekujemy dalszych, swobodnych i uczciwych odpowiedzi".

Dwa lata temu — dokładnie 22 lipca 1944 r. — Polska weszła w okres, który w języku nauk społecznych nazywa się rewolucją. Ta rewolucja, którą w Polsce przeżywamy, rzadko nazywając ją po imieniu, jest rewolucją podwójną: i rewolucją dziejową i rewolucją społeczną. Rewolucja dziejowa — to krótko mówiąc: ziemie zachodnie ze wszystkim co one znaczą.

Rewolucja społeczna — to mówi się krótko — „demokracja". Mówi się zbyt krótko. Mówi się i pisze „demokracja" jakby jedna była demokracja na świecie, jakby polska demokracja ludowa była tym samym, czym była kapitalistyczna demokracja XIX w.

Po drugie — zbyt często mówi się „demokracja" w trybie dokonanym, jak gdyby demokracja w Polsce była już gotowa. Jak gdyby dla dopełnienia demokracji w Polsce nie brakowało już niczego, prócz dobicia „reakcji".

Taki sposób mówienia o demokracji szkodzi, bo zaciemnia rozumienie rzeczywistości — którego tak bardzo nam potrzeba.

* * *

Szkodzi zresztą samej demokracji, której imię staje się ogranym i pustym dźwiękiem wywołującym zniecierpliwienie, zamiast entuzjazmu. Nie wystarczy wołać „demokracja", potrzeba wiedzieć — jaka?

Sto pięćdziesiąt siedem lat temu na gruzach Bastylii zrodziła się demokracja mieszczańska. To była „władza ludu" ograniczona tylko do jednej dziedziny — do dziedziny politycznej.

Jak mógł działać sprawnie ustrój, w którym inne zasady rządziły polityką, inne gospodarką i kulturą?

Mógł działać dopóty, dopóki była słaba świadomość własnych dążeń wśród ludu, chłopów, robotników, pracowników umysłowych. Dopóki tak silny był wpływ ducha mieszczańskiego, że lud głosował po myśli mieszczaństwa. Kryzys zaczął się, kiedy coraz bardziej świadomy siebie lud, zdobywać zaczął władzę polityczną. Wtedy wybucha walka między ludową polityką i kapitalistyczną gospodarką.

Ustawodawstwo społeczne, związki zawodowe, interwencja państwa wobec cen — to wszystko łamie żebra kapitalistycznej gospodarce.

Wielkimi wydatkami na wychowanie, propagandę, dywersję polityczną — kapitalizm zatruwa życie polityczne. Demokracja kapitalistyczna była słaba, bo rozdarta wewnętrzną sprzecznością. Znamy dwa wyjścia z tej sprzeczności między kapitalistyczną gospodarką i demokratyczną polityką:

Pierwsze: rozciągnąć władzę kapitału na politykę — i odejść od demokracji. — To są wszelkie korporacjonizmy.

I drugie: rozciągnąć władzę ludu na gospodarkę — i odejść od kapitalizmu. To znaczy: demokracja ludowa.

* * *

Demokracja ludowa jest demokracją pełną. Jest demokracją polityczną, gospodarczą i kulturalną.

Budowa demokracji ludowej — to konsekwentna przebudowa wszystkich dziedzin życia zbiorowego. Dla tego demokracja ludowa nie może stać się z dnia na dzień, od jednego zamachu na Bastylię. Trzeba ją zbudować od fundamentów.

* * *

Demokracja ludowa — jest po pierwsze, demokracją polityczną.

Prawdziwa demokracja polityczna nie jest prosta. Nie wystarczy głosować, żeby być obywatelem. Żeby być obywatelem — trzeba jeszcze być wolnym człowiekiem i trzeba umieć myśleć politycznie.

Żeby człowiek pracy był człowiekiem wolnym — musi on być wolny od gospodarczej zależności, musi być wolny od ucisku duchowego, a po to potrzebna jest ludowa gospodarka i ludowa kultura.

Czy już mamy w Polsce gotową ludową gospodarkę i kulturę? Zobaczymy z bliska. Z góry można powiedzieć, że nie.

Umieć myśleć politycznie — to znaczy przede wszystkim rozumieć rzeczywistość społeczną i jej prawa.

Czy ogromna większość społeczeństwa polskiego rozumie nową rzeczywistość i jej prawa? Trudno nawet tego wymagać. Nie łatwo jest opamiętać się odrazu po takim przewrocie jakiśmy przeżyli.

Nie jest jeszcze w Polsce gotowa demokracja polityczna.

Demokracja ludowa jest po drugie demokracją gospodarczą. Ustrój feodalny był ustrojem pierwszeństwa ziemi i władzy gospodarczej jej właścicieli. Ustrój kapitalistyczny był ustrojem pierwszeństwa kapitału i władzy gospodarczej jego posiadaczy. Idzie ustrój ludowy — pierwszeństwa pracy i władzy gospodarczej pracujących.

W gospodarce polskiej pierwszeństwo pracy i pracujących budujemy na podstawach następujących:

Pier sze: reforma rolna. Oparcie rolnictwa na gospodarstwach chłopskich, gospodarstwach, w których z natury praca jest pierwsza. Pracujący jest panem, ziemia kapitał, — tylko narzędziami.

Drugie: okiełznanie na rzecz pracujących całej gospodarki, przez wydanie jej kluczów — podstawowych gałęzi przemysłu, kredytu, komunikacji, w ręce państwa ludowego.

Trzecie: zorganizowanie gospodarki i ostateczne okiełznanie gospodarczej inicjatywy kapitalistycznej — przez przedsiębiorstwa spółdzielcze.

Wszystkie te wielkie reformy jeszcze nie dobiegły kresu. Reforma rolna to na razie jeszcze nie wiele więcej, niż parcelacja. Trzeba wyposażyć nowe gospodarstwo, podnieść kulturę rolną, rozwinąć spółdzielność.

Przemysł przejęty przez państwo, ale jeszcze nie strawiony. Spółdzielczość ma jeszcze daleką drogę.

Ale każda forma jest tylko formą, dopóki jej nie wypełni człowiek. Musi kuleć gospodarka uspołeczniana — dopóki nie wychowamy uspołecznionego człowieka. Człowieka zdolnego do inicjatywy gospodarczej dla dobra wspólnego, nie tylko własnej kieszeni.

Póty nie pełna będzie demokracja gospodarcza.

I u jest trzecia, najtrudniejsza sprawa — sprawa kultury demokratycznej bez której demokracja polityczna i gospodarcza będą formą tylko.

Tylko w tym rzecz, że kultura „tworzy się", że wzrasta „powoli".

Kultury nie można napisać i nie da się jej wprowadzić w życie dekretem. Trzeba wychować nowego człowieka. To trudna i długotrwała praca. Trudna zwłaszcza dziś, kiedy trzeba dokonać skoku ponad przepaścią ostatnich kilku lat z jednej do zupełnie innej rzeczywistości.

I wreszcie najtrudniejsze: nowego człowieka nie wychowuje się tylko szkołą i kazaniem. Nowego człowieka wychowują przede wszystkim nowe formy życia.

Jak rozwój ludowej polityki i ludowej gospodarki zależał od wychowania nowego człowieka, tak inny człowiek może się wychować tylko w demokratycznych formach politycznych i gospodarczych.

Błędne koło? Nie. Skomplikowana współzależność rozwojowa.

Wniosek? Budowa demokracji nowoczesnej prawdziwej, ludowej — jest sprawą zasadniczej równoczesnej przebudowy całego życia zbiorowego. Jest sprawą wychowania jednostki.

Nie można demokracji zbudować paru dekretami i odpowiednią liczbą przemówień i artykułów w dziennikach.

Nie może jej zbudować najgenialniejszy choćby rząd. Muszą ją wraz z nim budować wszystkie świadome i twórcze siły narodu. I muszą budować jeszcze długo.

Demokracja w Polsce wcale nie jest gotowa.

Jesteśmy dopiero na początku drogi mimo, że wielki jej kawał za nami.

Idziemy do demokracji, ale, póki idziemy, nie wołajmy zawcześnie „demokracja" i nie nadużywajmy jej imienia dla rzeczywistości, która jest tylko ważnym początkiem.

Nazywajmy lepiej dzień dzisiejszy po prostu i dokładnie rewolucją ludową.

Jeżeli mówimy „demokracja" to wrogów nie przekonamy, a zwolenników możemy rozczarować, bo życie nie jest lekkie w czasach rewolucyjnych.

Jeżeli mówimy „rewolucja ludowa" to mówimy jasno: idziemy do demokracji ludowej, ale jeszcze droga przed nami, a rewolucja ma swoje prawa.

Jednym z jej praw najważniejszych jest obowiązek najwyższego wysiłku i twarda konieczność wyrzeczeń. Obowiązek i konieczność — dla wszystkich.

Adam Rapacki

22-go lipca

Dzień 22 lipca jest w dziejach naszych trzecią z kolei datą naszego święta narodowego. Pierwszą był dzień 3 Maja, drugą — 11 listopada. Trzy te daty są symbolem nie tylko naszych walk i wysiłków w budowie naszej państwowości, lecz także wyrazem przemian, jakie nasza racja stanu, polska myśl polityczno-społeczna przeszła na przestrzeni półtora wieku.

3 Maja pozostaje — jako symbol pierwszej, zasadniczej przemiany, kiedy naród nasz po raz pierwszy uświadomił sobie, że nie może pozostawać wstecz za rozwojem reszty świata, kiedy w manifeście konstytucyjnym dał wyraz swej mocnej woli stania się organizmem zdrowym, na owe czasy postępowym, państwem silnym i nowoczesnym. Nie danem było przodkom naszym zrealizować w pełni szczytnych założeń 3-majowych, lecz pamięć ich jest naszym wspólnym dobrem narodowym, które czcić i wspominać powinniśmy.

11 listopada — pamiątka odzyskania niepodległości po wiekowej niewoli — był równocześnie świętem pierwszego zwycięstwa nad Niemcami — podówczas Wilhelma II. Zwycięstwo okazało się nietrwałe, przemiany, jakie przyniosła pierwsza wojna światowa, zbyt mało dostosowane do wytwarzającej się nowej rzeczywistości polityczno - społecznej. Nie było w tej rocznicy ani symbolu ugruntowania polskiej racji stanu na trwałych podstawach, ani wyrazu nowoczesnego nurtu myśli społecznej. Stąd też 11 listopada jest i pozostanie dla nas tylko datą historyczną.

22 lipca nie jest datą zakończenia wojny, nie jest rocznicą ostatecznego zwycięstwa nad odwiecznym naszym wrogiem—Niemcami. Ale w lipcu 1944 r. obróciło się znowu koło historii. Na ziemi naszej, znajdującej się jeszcze w niewoli niemieckiej, stanął Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, którego pierwszym krokiem było wydanie pamiętnego, bo podstawowego dla nowej rzeczywistości polskiej Manifestu.

Manifest ten stwierdził nasze prawa do ziem zachodnich, po Odrę i Nisę, zagrabionych nam przez Niemcy, ustalił nasze miejsce w Europie, dając nam w oparciu o przyjaźń ze Związkiem Radzieckim możność spokojnej pracy nad zbudowaniem niepodległego Państwa Polskiego na trwałych podstawach geopolitycznych. Dał wyraz głębokiej przemiany społeczno-politycznej, przyniesionej światu przez nieuchronny nurt prądów społecznych, stwarzając nową, wszechstronną, a więc prawdziwą demokrację, w której głos pierwszy ma praca, oddając w ręce całego narodu, a nie tylko pewnych grup uprzywilejowanych decyzję w zasadniczych sprawach społecznych i gospodarczych, zapewniając mu przez upaństwowienie przemysłu i reformę rolną potężny i bezpośredni udział w gospodarce narodowej. Zapowiedział udostępnienie dóbr kulturalnych wszystkim bez wyjątku obywatelom, wolnym, równo—i pełnoprawnym, kładąc podwaliny pod to, by społeczeństwo nasze stało się narodem w pełni świadomym swych celów.

Manifest więc — wyraz przemian, jakie przeszła polska myśl polityczna w obliczu nowego świata powojennego stał się fundamentem, na którym odtąd ma się budować, rozwijać i doskonalić życie narodowe, społeczne, gospodarcze i kulturalne niepodległego Państwa Polskiego.

INTERESY WIELKICH MOCARSTW NA DALEKIM WSCHODZIE



Historyczny chiński mur

Jeśli na całym świecie stan pokoju jest stanem normalnym, to w Chinach jest odwrotnie. Tam wojna w takiej czy innej formie wydaje się trwać wiecznie. Od chwili kapitulacji Japonii minęło już około dziesięciu miesięcy, ale w Chinach trwa zażarta walka, tym razem między wojskami narodowymi marszałka Czang-Kai-Szeka a Armią Komunistyczną. W styczniu r. b. zostało zawarte zawieszenie broni na froncie wewnętrznym. Za pośrednictwem Czang-Kai-Szeka utworzono Radę Polityczną, do której weszli delegaci poszczególnych partyj i organizacji politycznych. Czang-Kai-Szek oświadczył, że Kuomintang rezygnuje z systemu monopartyjnego na rzecz ustroju demokratycznego. Partia komunistyczna ze swym przywódcą Czu - En - Laiem oświadczyła z kolei, że przystępuje do porozumienia, pomimo wielu zastrzeżeń. Szczera współpraca tych 2-ch zasadniczych partii politycznych w Chinach jest konieczna dla odbudowy kraju po długotrwałej wojnie i jego pokojowej przebudowy na nowoczesnych zasadach. Pomimo silnych tendencji do zwalczania wpływów międzynarodowych i pomimo dążenia Chin do całkowitej suwerenności, osiągnięte porozumienie nie trwało długo. Już w marcu r. b. wybuchły walki między wojskami narodowymi a Armią Komunistyczną. Antyradziecka kampania pewnych odłamów prasy chińskiej i antyradzieckie demonstracje w kilku miastach popierane były nie tylko przez reakcję krajową, lecz również przez czynniki zagraniczne.

Na tym tle nabierają osobliwego znaczenia wiadomości, podane przez agencję TASS z 10.6. b. r. że admirał amerykański Cook, na konferencji z oficerami armii amerykańskiej w Szanghaju, upoważnił gen. Kellor Rocky, dowodzącego marynarką w północnych Chinach, do zaopatrywania narodowych wojsk chińskich, walczących przeciwko armii komunistycznej w Mandżurii, w materiały wojskowe i żywność. Admirał Cook zarządził, by materiały te dostarczano drogą lotniczą i morską pod kontrolą marynarki amerykańskiej. Jak podaje TASS, na konferencji powyższej postanowiono również przekazać wojskom Czang - Kai - Szeka cztery torpedowce amerykańskie oraz 40 innych okrętów.

W związku z powyższym nasuwa się pytanie, kto kieruje polityką zagraniczną Stanów Zjednoczonych? W czerwcu r. b. komentator radia w New-Yorku J. Steel, oświadczył, że jest złudzeniem przypuszczać, jakoby amerykańska polityka zagraniczna była prowadzona przez naród. „W tej chwili kierującymi siłami za plecami **State Department** są wielkie kompanie asekuracyjne, ciężki przemysł stalowy, chemicznych i t. p. **State Department** ulega ich wpływom o wiele więcej, niż inne ministerstwa, i dlatego nasza polityka zagraniczna jest w rękach małej grupki monopolistów". Tak czy inaczej, źródłem ustawicznego wrzenia w kotle chińskim są sprzeczne interesy wielkich mocarstw, ale kapitały amerykańskie odgrywają tu niepoślednią rolę.

Obecnie zainteresowanie całego świata skupia się głównie na Mandżurii. Na północy tego kraju znajdują się wielkie huty stalowe, pracujące w pobliżu pokładów rud żelaznych, węgla i magnezytu. Obfitość lasów służy za podstawę przemysłowi drzewnemu. Odbudowa południowych obszarów Mandżurii, wyniszczonych przez długoletnie działania wojenne, zależy w głównej mierze od rozwoju produkcji obszarów północnych.

Waszyngton pragnąłby, aby Mandżuria należała do Chin, kierowanych przez ustabilizowany rząd narodowy Czang-Kai-Szeka. Jasne jest, że Moskwa patrzyłaby z dużym zastrzeżeniem na Chiny, podtrzymywane przez amerykański kredyt i szukające moralnego i politycznego poparcia w Waszyngtonie. Amerykańskie cele gospodarcze w Chinach nie są trudne do wyśledzenia. Jak pisze "The Financial Times" z dn. 26.5 r.b.—Ministerstwo Handlu USA. pragnie rozszerzyć handel zagraniczny do tego stopnia, by wartość eksportu amerykańskiego mogła dosięgnąć 10 miliardów dolarów rocznie. Wobec czego dodatnie saldo bilansu handlowego wyniosłoby 3 miliardy dolarów. W tych przewidywaniach Stany Zjednoczone mają przede wszystkim na względzie rynki Dalekiego Wschodu, śród których Chiny i Indie zajmują pierwsze miejsca.

Jeszcze przed końcem wojny amerykańska misja ekonomiczna przeprowadzała badania w dolinie rzeki Jang-tse, i obecnie rząd chiński ma przystąpić do budowy zapory wodnej według planów amerykańskich. Jednocześnie prace odwadniające mają objąć teren 10 milionów akrów. Będzie to ogromnie ważne dla chińskiego rolnictwa, od którego poziomu i rozwoju zależy pośrednio uprzemysłowienie kraju.

Stany Zjednoczone rozumieją dobrze, że wszelka pomoc kapitałowa dla Chin musi być udzielona na bardzo przystępnych warunkach i że dużo czasu upłynie, zanim Chiny będą w stanie przystąpić do produkcji dóbr i wymiany usług. Stany Zjednoczone są zdecydowane dostarczyć nie tylko maszyn i narzędzi, ale i wykwalifikowanych sił roboczych oraz instruktorów dla szkolenia krajowców.

W tym celu Ministerstwo Handlu U. S. A. bada możliwości wyrównania swoich obrotów handlowych z Chinami. W latach przedwojennych Chiny wysyłały za granicę jedwab, oleje roślinne herbatę i szczecinę. Eksport ten można będzie obecnie zwiększyć, chociaż dużą konkurencję dla jedwabiu stanowi dziś sztuczny jedwab. W ostatnim roku przed wojną z Japonią chiński bilans płatniczy opierał się głównie na takich niewidzialnych pozycjach, jak przekazy zamorskie, wydatki misyjne, dyplomatyczne, turystyczne itp. Pozycje te obejmowały około 200 milionów dolarów, przewóz złota i srebra sięgał 100 milionów dolarów, eksport zaś towarów wynosił tylko 250 milionów dolarów. W przeszłości Chiny wywoziły dość znaczne ilości wolframu, antymonu, cyny i rudy żelaznej. Obecnie Stany Zjednoczone dążą do wznowienia importu tych metali z Chin. Dotychczasowe badania jednak nie wskazują na duże zapasy tych minerałów na terenach Chin, z tego też powodu narodowy rząd chiński przywiązuje wielką wagę do bogactw Mandżurii. Mimo wszystko jednak Chiny nie zostały jeszcze dokładnie zbadane pod względem bogactw kopalnianych. W każdym bądź razie wydaje się, że ograniczenie handlu zagranicznego Chin do wymiany wyłącznie ze Stanami Zjednoczonymi nie byłoby tak korzystne dla Chin, jak szerokie stosunki handlowe z całym światem, w szczególności ze swoimi najbliższymi sąsiadami.

Penetracja amerykańska w Chinach wzbudza duże obawy i niezadowolenie Wielkiej Brytanii. Wobec czego prasa brytyjska stara się wykazać rozbieżność interesów Stanów Zjednoczonych i Z. S. R. R. na terenie Chin, pisząc, że przyszłe wiadomości z Chin służyć będą jako dokładny i szybki wskaźnik bieżących stosunków politycznych pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem.

J. J.

Zaskakująca książka

Zastanawiałem się, co za nagłówek dać temu felietonowi, w którym chciałbym uporządkować wrażenia, jakich doznałem czytając książkę Ksawerego Pruszyńskiego p. t. „Margrabia Wielopolski". Nie wiem, czy mi się to uda. Książka wyszła przed paru laty w Londynie. Obecnie nowe jej wydanie wypuścił „Czytelnik". Zaskakująca książka? To znaczy książka, która swą treścią, ujęciem tematu i chwytami pisarskimi spada znienacka na czytelnika i osacza go. Są one niezwyczajne i drażniące, odmienne od tych form, do jakich przywykliśmy w tradycyjnych opracowaniach historycznych. Może niegdyś Boy-Żeleński zaskakiwał nas podobnie „Marysieńką" albo Olgierd Górka rewizjonizmem „tła historycznego" sienkiewiczowskiej Trylogii. Przyznajmy jednak, że u Boya podniecały nas niedyskrecje łożnicy małżeńskiej, której podglądanie nie było zbyt wielkim wyczynem dziejopisa, każdy bowiem bohater historyczny, jak każdy człowiek, ma owe „zmysły... zmysły", które kusiły zawsze Boya. Co do Górki — i to również przyznajmy — rewelacje jego obliczone były potrosze na „epatowanie burżuja", albowiem inszą rzeczą jest naga prawda historyczna, a inszą jej artystyczne przetworzenie, na jakie sobie pozwolił Sienkiewicz wzorem wielu poetów historycznych — przeróżnych Walter Scottów, Schillerów, Wiktorów Hugo... Toteż nie wszystkie rewelacje Górki ostały się, i możnaby o Sienkiewiczu i o nim powiedzieć staropolskim przysłowiem: dłużej klasztora niż przeora.

Klimat książki Pruszyńskiego jest inny. Powstała ona, jak autor w przedmowie zaznacza, w ciszy lectorium Muzeum Brytyjskiego, czasu okropnej wojny, gdy na londyńskim bruku — jak niegdyś na paryskim — jątrzyły się niewczesne zamiary i potępieńcze swary. Autor, jak widać, przeżywał je dotkliwie. Szukał wyjścia z trudności, w jakich się znalazła polska myśl polityczna na emigracji. Być może, czuł się jak Słowacki — „smutny i sam pełen winy"; więc, jak Słowacki, jął przemawiać językiem „Grobu Agamemnona": chciał przepędzić Polskę przez wężowe rózgi, sięgnąć do wnętrza jej trzew i zatargać. Stąd zapewne gwałtowny i sarkastyczny niekiedy styl książki; stąd jej „krwawa ironia" — powiedziałbym, gdybym się nie lękał śmieszności wytartego zwrotu. Czy można czytać w równowadze ducha takie na przykład zdania i charakterystyki:

1. „Warszawa (po powstaniu listopadowym)... miała lokale nocne i domy publiczne, gdzie prowincja szlagońska topiła te pieniądze, jakich nie wydała na psy, konie, suknie paryskie, dubeltówki angielskie czy karty..."

2. „Zygmunt Krasiński i generał Morawski... urośli naraz do formatu mężów stanu polskiego podwórka — zwłaszcza mroczny, mętny, nadęty, długonosy Krasiński'.

3. „Lekkomyślne (?) ludy europejskie, chwytając w r. 1848 za broń, zapraszały sobie na wodzów — polskich generałów. Znakomici ci mężowie byli przeważnie bezrobotnymi od r. 1831 i dość bezskutecznie poszukiwali posad w Portugalii, Belgii czy Egipcie. Nanudziwszy się dosyć, postanowili pokazać raz jeszcze, co potrafią. To też niebawem generał Chrzanowski przegrał w Lombardii, Bem w Wiedniu, Dembiński na Węgrzech..."

4. „Polska, jak dziewczyna z piosenki, nie mówiła: tak, i nie mówiła: nie. Ale takie dziewczyny są miłe tylko w piosence; w życiu zrazu nas podniecają, potem szybko nam brzydną. A w polityce? Trudno."

5. „Schorzały arcybiskup Fijałkowski (w r. 1861), równie zacny jak mierny, udrapował się w ostatnich miesiącach swego życia na nowego Stanisława Szczepanowskiego".

6. „W Polsce rządzący niczego tak się nie boją, jak brania odpowiedzialności na siebie... a zwyczajem każdego szefa jest zwalać winę na podwładnych".

7. „Polacy są naogół znacznie lepszymi mężami i kuzynkami, niż tak zwanymi synami ojczyzny"...

Tego rodzaju „krwawej ironii" znajdujemy dużo w książce Pruszyńskiego, i doprawdy, niekiedy mąci się tu Słowacki z Karolem Zbyszewskim, autorem „Niemcewicza od przodu i tyłu". Ale to wszystko ma swój sens i swój cel. Wstrząsa to czytelnikiem, w którym nagle chwieją się ustalone, nietykalne dotąd „świętości", teraz „szargane", i wstrząs ten otwiera mu oczy na sprawy, dotychczas być może niedostrzeżone lub niedocenione. Najważniejszą z nich jest program polityczny margrabiego Wielopolskiego, przed którym Pruszyński chyli nisko głowę. Wielopolski — zdaniem Pruszyńskiego — jeden jedyny rozumiał dwa pewniki historyczne: „potrzebę współdziałania dwóch największych narodów słowiańskich"— Rosji i Polski, oraz „grozę niebezpieczeństwa germańskiego". I postać margrabiego — olbrzyma o lwiej głowie z natury — wychodzi spod pióra Pruszyńskiego jeszcze bardziej imponująca, rzekłbyś — niesamowita w swym osamotnieniu politycznym śród ówczesnego społeczeństwa naszego. Ale czy rzeczywiście była osamotniona? Takie pytanie rodzi się w myślącym czytelniku. Przecie jednocześnie z Wielopolskim działali na emigracji nasi demokraci (np. Stanisław Worcell), którzy współpracowali z Hercenem i Bakuninem. Różnica pomiędzy nimi a Wielopolskim polegała na tym, że oni „współdziałania słowiańskie" opierali na rewolucji rosyjskiej, Wielopolski zaś na przymierzu z caratem. Historia wykazała, kto miał słuszność.

Jeden z krytyków książki Pruszyńskiego, historyk Józef Sieradzki w artykule o niej p.t. „Prawda z błędami" („Odrodzenie" Nr 19), wytyka Pruszyńskiemu, że stał się fałszywym „apologetą" margrabiego; że „w głębi duszy żywi sentyment dla Aleksandra II"; że „ma zdecydowanie ujemny sąd o radykałach 1863 roku a także o chłopach"; że się dopuścił wogóle wielu pomyłek historycznych, uniesiony uwielbieniem dla Wielopolskiego. Jest to ocena słuszna. I właśnie ten stosunek Pruszyńskiego do margrabiego zaskakuje czytelnika również, i to od strony — powiedziałbym, psychoanalitycznej. Marks, z którym Pruszyński parokrotnie zestawia Wielopolskiego, orzekł, że człowiekowi nie łatwo jest się wyzbyć atawizmów, związanych z jego pochodzeniem, wychowaniem i środowiskiem, bez względu na to, czy się urodzi w pałacu, czy w kurnej chacie. Możliwe, cześć, jaką żywi Pruszyński dla Wielopolskiego, który był i hrabią i margrabią od wielu pokoleń, znajduje swoje źródła psychoanalityczne w fakcie, że sam Pruszyński jest z pochodzenia hrabią. Wprawdzie nie tak starożytnym, jak Wielopolski i nie skoligaconym jak on z Habsburgami i z Burbonami, i nie konserwatywnym lecz radykalnym, ale bądź co bądź hrabią, zawdzięczającym swój—niepotrzebny dziś tytuł — cesarzowi Aleksandrowi II, temu, z którym paktował Wielopolski, a który tłumił powstanie 63 roku.

Jerzy Wyszomirski

OD GRUNWALDU DO MALBORKA



Tysiącletni dąb

Od Napierek (Napierken) wjeżdżamy w kraj, różny od tego, jaki zostawiliśmy za Mławą. Przez czas podróży po nim nie opuszczają nas zmieszane uczucia podziwu, inności i smutku. Spróbujmy je sobie wytłumaczyć. Kraj jest piękny podwójnie: jako twór natury i jako dzieło rąk ludzkich, musimy więc podziwiać go i nawet się nim zachwycać. Krajobraz jest tutaj malowniczy: falisty, pagórkowaty, jeziorny i lesisty. Nieprzerwanie odsłaniają się czarujące widoki, odmienne od tych, jakie oglądaliśmy na płaskim, nużącym jednostajnością, Mazowszu. Tu oko ciągle doznaje niespodzianek, tym większych, że drogi tutejsze — w przeciwieństwie do pylnych, prostych i przeważnie bezdrzewnych dróg mazowieckich— mkną z równiny pod górę i spadają wdół, a wiją się wężowo bez końca śród wzgórz, jezior i lasów, śród najrozmaitszych odcieni zieloności. Są przy tym asfaltowane i wysadzone drzewami. To też nie ma tu kurzu. A jakie drzewa! Widać, że pielęgnowano je, jeśli nie setki, to conajmniej długie dziesiątki lat. Wysokopienne, geste. Drzewa nadają drogom przytulności, którą potęguje krajobraz — wciąż zmienny, wciąż stwarzający prześliczne zakątki. W zakątkach rozkładają się osiedla. Oto dwie ściany lasu, zbiegające się pod kątem. Kąt zieleni się bujną trawą, a w samym jego szpicu domostwo. Oto inne domostwa u stóp pagórków, które chronią je od wiatrów; inne jeszcze przeglądają się w jeziorze, a nad nimi znowu czuwają opiekuńcze wzgórza, albo gaj, albo las. Lasy są piękne, pieczołowicie hodowane. Zadrzewienie mieszane, z przewagą liściastego. Niektóre lasy są wyłącznie dębowe, gdzie indziej rosną buki i brzozy. Dąbrowy szumią szumem, w którym słychać powiew wieków, i szum ten budzi refleksje historyczne i filozoficzne, Może te same lasy dębowe rosły tu w czasach, gdy Pomorzem władał Swiętopełk i Mestwin, bo oto w okolicy Tolkmicka, śród przedziwnego starodrzewu, króluje dąb tysiącletni. Gdy Swiętopełk ścierał się tu z Krzyżakami, dąb już miał lat trzysta. Dziś jest tak sędziwy, jak cała historia Polski. Do jego wnętrza otwierają się drzwiczki, a we wnętrzu znajdujemy izdebkę. Jest to tutejszy „Baublis, w którego ogromie, wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem". W wielu miejscach migają na prawo i na lewo od nas aleje topolowe, wiodące od szosy ku dawnym dworom. Są strzeliste i wysokie, niewiarygodnej piękności. Cudowne tu drzewa i lasy: modlić si do nich można. Zrozumiały tu się staje kult lasów u starożytnych narodów pogańskich. Zrozumiałe jest, dlaczego Grecy zaludniali dąbrowy driadami, a nasi słowiańscy przodkowie odprawiali swe nabożeństwa w świętych gajach. I bliska sercu i myślom wydaje się tutaj mickiewiczowska inkantacja do lasów, wyśpiewana w „Panu Tadeuszu", i — jak Mickiewicza — lęk ogarnia, by złośliwa „kupiecka siekiera" (dziś rzeklibyśmy może — szabrownicza) nie poczęła plądrować w tych lasach. Jedziemy nimi, i w szumie ich słychać poemat mickiewiczowski, a z tym szumem i poematem ogarnia nas tchnienie nieskończoności. Urodziwy jest tutaj krajobraz: można się dziwić i zachwycać.

Lecz skąd się bierze uczucie inności? Stąd, że te składniki krajobrazu, które są dziełem rąk ludzkich, inne są niż w Polsce centralnej. Domy, osiedla, miasteczka i miasta odmienny mają charakter. Nie widać tu budownictwa drewnianego, ani — tym bardziej — biednych strzech słomianych. Czerwona cegła i czerwona dachówka — to jedyny niemal materiał budowlany; tylko po miastach widzimy, podobnie jak u nas, domy tynkowane i malowane. Ale i miasta różnią się od naszych — rozrzuconych bezładnie, niskich, często drewnianych, zabrukowanych kocimi łbami. Tu są miasta zwarte i skupione, pnące się w górę na modłę średniowieczną, jak stary Kraków lub Stare Miasto warszawskie, z wytyczonym wyraźnie rynkiem, na którym wznosi się zawsze ratusz, z uliczkami, co się wdzięczą kretaniną i załomami murów, pełne zacisza i spokoju, rozszerzając się tu i tam w placyki, gdzie stoją odwieczne, gotyckie,ciemno-czerwone kościoły. Podobne miasteczka oglądamy tylko na naszym Pomorzu: takie jest Wąbrzeźno lub idealny w swej średniowieczności Toruń. Czerwień osiedli tutejszych kojarzy się z zielonością natury, czyniąc wrażenia świeżości i porządku. Powiemy może pogardliwie: oto drobnomieszczańskość. Przyznajemy wszelako, że „drobnomieszczańskość" ma swoje zalety: systematyzuje życie, ułatwia i świadczy o dobrobycie. Musiał on tutaj panować, aż do wczesnej wiosny roku ubiegłego, która przeszła przez ten kraj straszliwym zniszczeniem wojennym. Większość miast i osiedli leży w gruzach, których doszczętność nie mniejsza jest od warszawskiej. Dlatego rodzi się w nas uczucie smutku. Jedziemy bezludną pustynią. Kraj, który miał przed wojną przeszło dwa miliony mieszkańców, liczy ich dziś podobno ledwie trzysta tysięcy...

Jednakże, pewne zjawiska i oznaki łagodzą nasz smutek. Co więcej — budzą radość. Stajemy na przykład w jakiejś wsi przydrożnej, bo psuje się samochód. Wieś nazywa się Marlewo. Z czerwonych domków — szczęśliwie nietkniętych wojną — wybiegają dzieci. Zjawia się milicjant w cywilu, z opaską na ramieniu i z karabinem, przerzuconym przez ramię. Pyta, czy potrzebujemy pomocy, i wstydliwie prosi o papierosa, bo papierosów nie można tu dostać. Chcemy kowala, bo szofer musi z nim coś w samochodzie pomajstrować. Dzieci biegną po kowala; tymczasem z narożnego domu wychodzi sołtys. Po chwili jest kowal — i tak dokoła samochodu zebrała się już gromada. Trochę wzajemnych rozpytywań, i wiemy już o sobie wszystko. Dwunastoletnia dziewczynka z rodziną pochodzi spod Grodna: „Musi pan nie wie gdzie Grodno"— mówi śpiewnym akcentem, czerwieni się i ucieka. Kowal jest z wileńszczyzny. Młody milicjant — o, ten ma za sobą całą epopeję. Przewędrował pół Rosji i szmat Azji, był w formacjach polskich na Bliskim Wschodzie i we Włoszech, niedawno powrócił do kraju, a urodził się w Zgierzu. Sołtys jest Wołyniakiem, ale — powiada — trzeci raz w życiu na starość, zmienia ziemię, i musi się uczyć nowej gleby. Wychował się na Podlasiu, a tam ziemia inna; ożenił się z Wołynianką, i gospodarował na Wołyniu dwadzieścia pięć lat, a tam ziemia zupełnie inna; teraz jako repatriant przybył tutaj — i znowu co innego; no, ale za to dzieci jego zżyją się z tą ziemią napewno.



Ogólny widok Olsztynka

Tak oto w małej wsi dawnopruskiej zebrali się ludzie ze wszystkich stron Polski, aby ją na nowo budować. W Elblągu zachodzę do kawiarni, bo widzę z radością w oknie napis, że jest mocca z ekspresu. Twarz starszej pani, przyrządzającej kawę, wydaje mi się znajoma. Z Warszawy? Oczywiście. A po powstaniu? Po powstaniu? Może pan bywał w Milanówku? W takim razie pamięta pan chyba drewnianą budę na przeciwko ostatniego przystanku Ekade. Kawa, herbata, bigos — naturalnie, bimber też był wówczas... Rzeczywiście, jak to się ludzie urządzają... W Malborku hotel „Polonia" z restauracją też w ręku Warszawiaków. Ta rasa Polaków — mimo swą skłonność do szabru — pełni dziś, jak się zdaje, doniosłą rolę cywlizacyjną na całym obszarze nowej Rzeczypospolitej. Zapładnia wszystko dokoła swą przedsiębiorczością i niezmożoną wolą życia, aczkolwiek czuje się wszędy potrosze jak Zydzi w diasporze, tęskniąc do swojej zburzonej Warszawy.



Port rybacki w Elblągu

Milicjant, który nas oprowadza po zamku malborskim, jest również Warszawiakiem, z Chłodnej ulicy. Po powstaniu wywieziony był do obozu niemieckiego. Spośród dwóch wyrostków, co nam wskazali drogę do zamku, jeden był repatriantem Wilnianinem, a drugi synem przesiedleńca spod Włodawy. Natomiast grzeczny, inteligentny i poważny sierżant W. P., który razem z milicjantem był naszym przewodnikiem ,pochodzi z Gniezna. Sekretarz starostwa malborskiego, p. Wojciechowski, od którego otrzymaliśmy potrzebne informacje co do zamku, jest Poznańczykiem. Cała Polska — powtarzamy wysyła do tego kraju swych przedstawicieli. Przemieszają się oni ze sobą, i w następnym pokoleniu wydadzą nowy typ Polaka. Niechby to był typ zdrowy, silny, pracowity i szlachetny. Mówimy o nim z przygodnie poznanym porucznikiem, który przy kontrolnym punkcie samochodowym w Elblągu prosi nas, byśmy go podwieźli do Malborka. Jest on z pochodzenia Łodzianinem. Lata wojny przebył — ściśle: przecierpiał w Dachau. Młody człowiek, ale mądry i myślący, bo dusze, które wiele doświadczyły, mądrzeją. Rozglądamy się po tych pięknych stronach, które on już poznał dokładnie, widzimy ogrom ich zniszczenia i rozumiemy wysiłek, jakiego będą od nas wymagały w ciągu dziesiątków lat — ale mówimy sobie, że życie narodu oblicza się nie na dziesiątki lat. Zycie narodu — to dęby tysiącletnie, pod których osłoną wzrastają, cieszą się i przemijają nieskończone pokolenia.



Typowe domki Mazurskie

Zamek malborski zionie dziś pustką. Część jego murów, z kaplicą, zdruzgotana pociskami, obnażyła wnętrza. Na ścianie wisi tylko olbrzymi krucyfiks, który cudem ocalał. Ale pozostały ogrom jest nienaruszony. Gdy się chodzi po tych salach, krużgankach i korytarzach, wydaje się w ogóle niepodobieństwem, aby ten kamienny masyw można było zniszczyć. Czyni on wrażenie już nie dzieła rąk ludzkich, lecz jakiegoś gigantycznego tworu natury. „Zdawać się może, że tam gmachy wyrastają na gmachach, tworząc jakby górę, której szczytem jest Stary Zamek, a stokami Sredni i rozłożyste Podzamcze. Bije od tego olbrzymiego gniazda zbrojnych mnichów moc i potęga nadzwyczajna": takim się wydał zamek Zyndramowi i Zbyszkowi, gdy, płynąc Nogatem, zdala go ujrzeli, i taki sam wydał się nam dziś, po pięciu wiekach. Ale wówczas był nadzwyczajnie ludny i ożywiony. Dziś jest grobowcem. Jego wnętrza zostały, niestety, całkowicie obrabowane. W jednej z sal, pośród śmiecia, walają się resztki księgi pamiątkowej, w której zwiedzacze zamku kładli swe podpisy. Podnosimy kilka zabrudzonych arkuszy grubego papieru i widzimy na nich datę: rok 1897. Spomiędzy kilkudziesięciu nazwisk przykuwają wzrok nazwiska polskie. Jest ich na tych kilku arkuszach razem czterdzieści dwa. Niektóre kładzione były w pisowni niemieckiej: Konopatzki, Walentinowitsch, Borawsky, Wittkowsky, Rogalla.. Inne w brzmieniu czysto polskim: Nowakowski, Górski, Marzynowski, Damazy Kowalski, Ida Wieczorek... A przy nazwiskach miejscowości, skąd ich nosiciele pochodzili: Riesenburg, Liebemühle (Miłomłyny), Allenstein, Elbing, Marienwerder, Danzig, — i tam dalej: wszystko to z ziemi tutejszej, pruskiej, mazurskiej, której polskości wieki nie zatarły.

Osobliwe przeznaczenie czeka zamek malborski. Ma się on stać monumentem przestępstw niemieckich, popełnianych i przedtem i czasu obecnej wojny, nie tylko na narodzie polskim, ale i w innych krajach. Tu mają być zebrane dokumenty ze wszystkich Oświecimiów europejskich, ze wszystkich kaźni. Należy się z tym spieszyć i co prędzej zabezpieczyć przed niszczeniem te części zamku, które wojna wyszczerbiła. Przekazany przez Hitlera młodzieży niemieckiej („dem deutschen Jungvolks"), aby wskrzeszał tradycje krzyżeckie, zamek wyrokami historii został upokorzony i wznosić się odtąd będzie na świadectwo prawdzie i sprawiedliwości. U stóp jego leży strącony z podstawy spiżowy posąg Fryderyka II. Trzeba go podnieść i ustawić w którejś sieni zamkowej, aby następnym pokoleniom głosił: tak wyglądali ci co mniemali o sobie, że mogą ujarzmiać bezkarnie wolne narody.

J. W.



Lot balonu kpt. Burzyńskiego w zawodach o puhar Gordon Bennet'a

Mamy obowiązek sportowy

Kpt. pilot Zbigniew Burzyński

Ileż to lat temu było?

— Och, stosunkowo dość dawno. Jeżeli chodzi i historię aeronautyki w ogóle, to rok 1906 jest jednym z tych lat, w których środki cięższe od powietrza stawiały pierwsze swe kroki, a lżejsze, chociaż znane już wtedy od lat niemal stu trzydziestu, podlegały wielkim przemianom pod wływem konstrukcji Renard'a i Zeppelin'a. Wszystko zależało wówczas od rozwoju silnika spalinowego; jego postępy były postępami aeronautyki.

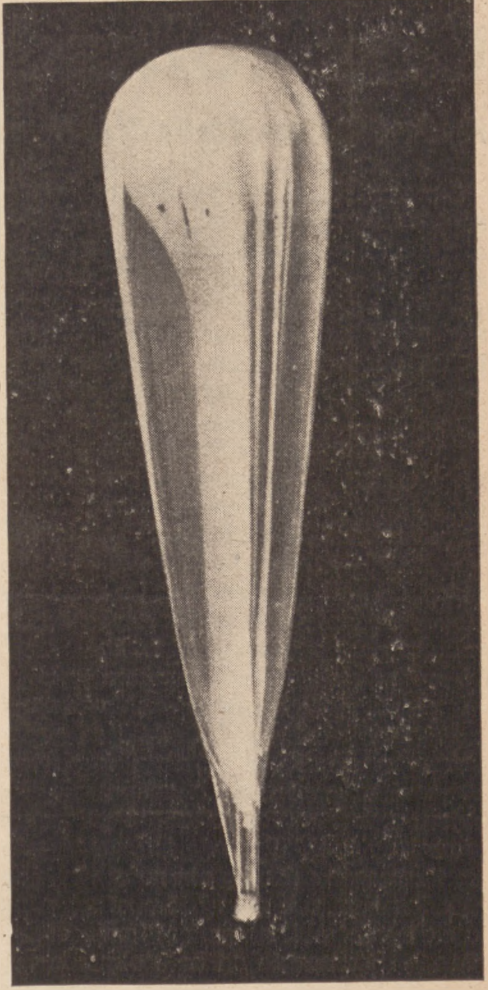
Lecz w tej chwili interesujemy się tym prototypem rodu aeronefów, co pierwszy opuszczając powierzchnię ziemi w wieku XVIII dał wielkie obietnice na przyszłość; było to jeszcze wtedy, gdy Lavoisier po raz pierwszy wskazał ludzkości składniki wody, olejów, alkoholu; gdy Galvani i Volta dokonywali pionierskich obserwacji w dziedzinie elektryczności. Tym aeronefem, który zapłodniwszy wyczynem myśl, jest i dzisiaj w dobie turbinowej pary, w dobie elektryczności płynącej przewodami, elektryczności falowej i utajonej w atomach, zawsze jeszcze przodującym w wysokości, odległości i czasie.

Tym protoplastą jest kulisty balon wolny. Na nim dokonano pierwszego wzniesienia ponad powierzchnię ziemi w roku 1783. Na nim pierwsi uczyli się fizyki atmosfery Tissandier, Gay-Lussac, Süring i Berson.Na nim bito wszystkie światowe rekordy wysokości i na nim odbyła się po raz pierwszy zawodnicza impreza aeronautyczna im. James Gordon-Bennet'a o największą odległość. Było wtedy w Paryżu wielkie święto; można powiedzieć wyległo pół miasta; 200.000-ny tłum otoczył pola w Vincennes, skąd startowano. Od tej daty co roku, za wyjątkiem lat wojen światowych startowano ze stolicy państwa, które odniolo ostatnie zwycięstwo.

Pierwszy polski udział w tych zawodach datuje się r. 1932 z Bazylei. I-sze polskie zwycięstwo przypada na r. 1933, a następne na 1934, 1935 i 1938. Najwięcej zwycięstw od roku 1906 odniosły Stany Zjedn. A. P., bo 10, następnie Belgia 7. Asem światowym jest Belg Ernest Demuyter, który odniósł osobiście 6 zwycięstw, po nim Van Orman, Stany Zjedn. z trzema i Franciszek Hynek z dwoma zwycięstwami.

Jeżeli weźmie się pod uwagę czas trwania tych lotów dochodzących do 70 godzin, zaś normalnie 30 — 50 godzin, osiąganą wysokość do 8000 m., wielkie upały i wielkie mrozy na dużych wysokościach, wschody i zachody słońca i księżyca przeżywane pomiędzy chmurami nad nieznanymi krajami, walka ze zmęczenia i sennością, pogoń z wiatrem za kilometrami przestrzeni, nieokreślone z góry miejsce lądowania, nieoczekiwani gospodarze, zawsze bardzo gościnni dla ludzi z chmur — to uznamy, że sport ten posiada najwyższe walory wychowawcze i wyszkoleniowe.

Ostatnie przed wojną zwycięstwo odniósł kpt. Antoni Janusz w locie z Liège w Belgii do środkowej Bułgarii i zgodnie z regulaminem, przygotowywaliśmy w roku 1939 zawody ze Lwowa, lecz przeszkodził wybuch wojny. Naszym obowiązkiem jest je obecnie wznowić. Wszystkie państwa świata biorące zwykle w nich udział, są zmuszone czekać na naszą inicjatywę. Ernest Demuyter już się dopytywał o to p. prezydenta Warszawy Tołwińskiego.



Lot balonu „Gwiazda Polski" do stratosfery w 1938 r. z Doliny Chochołowskiej w Zakopar.em

KŁOPOTY Z ŻYTEM

Żyto podobno jest bogactwem Polski...

Pewnie. Ale i nieustającym kłopotem. Ziemia rodzi go — ile Bóg zdarzy, raz dużo, raz mało. A człowiek ma ograniczone możliwości spożywania chleba. Nie może go zjeść za mało — bo umrze. Nie może za dużo — bo zachoruje. Niech tylko trochę zabraknie zboża — a już strach przed głodem pcha ceny w górę i uboży robotnika. Niech się ukaże na rynku choćby mała nadwyżka — a już nie ma jej kto kupić — ceny spadają gwałtownie.

Ważne zboże i trudne zboże. Trzeba umieć obchodzić się z nim.

* * *

Najpierw mieliśmy za dużo żyta. W 1939 roku dopłacaliśmy sto procent ceny osiąganej za granicą od każdego kwintala wywiezionego żyta, jako premię eksporterowi, byle tylko utrzymać jaką taką cenę w kraju. I to nie pomagało. Trudno jest znaleźć amatorów na polskie żyto za granicą, gdzie panuje tania pszenica zaoceaniczna.

* * *

Teraz mamy kłopoty niedoboru. Szukamy dostawców za granicą.

Czy na długo? Chyba nie. Obszar ziemi żytniej w nowej Polsce wynosi 97% obszaru przedwojennego. Jego zdolność produkcyjna — jeszcze więcej. A ludności mamy tylko 60%. Zwierząt gospodarskich jeszcze mniej. Gdybyśmy obsiali żytem całą naszą żytnią ziemię — byłoby źle.

Musimy uciec od żyta. Musimy przejść na uprawy roślin przemysłowych dla nowych fabryk. Musimy przede wszystkim szybko wzmóc hodowlę.

Na razie jesteśmy w okresie braków. Jest lepiej niż było przed rokiem. Mamy braki, ale i spodziewamy się importu z UNRRA i ZSRR. A przede wszystkim przemysł państwowy ruszył i państwo ma za co kupić od wsi zboże na wyżywienie robotników. Nie musi uciekać się jak rok temu, do podatku w zbożu. Jest możliwa normalna wymiana między wsią i miastem — po cenach rynkowych.

Jednym słowem — wolny rynek!!

* * *

Ostrożnie! wolny rynek ma swoje przedwojenne uroki, ale ma swoje poważne wady. W zbożu, gdzie nawet mała nadwyżka, nawet mały niedobór — przewracają ceny do góry nogami — wolny rynek łatwo staje się anarchią. I w latach tłustych i w latach chudych. Anarchia — zawsze przeciw słabszemu — wśród „klęski urodzaju" — przeciw chłopu, wśród klęski głodu — przeciw robotnikowi.

Żyto to ważne i trudne zboże. Trzeba z nim umieć postępować...

Musi być ktoś ktoby mógł zorganizować obrót żytem. Nie monopol — któryby z góry wyznaczał cenę — wystarczy ktoś silny na rynku i przejęty chęcią służenia sprawiedliwie chłopu i spożywcy miejskiemu, ktoby chciał i mógł przeciwdziałać wstrząsom i krzywdom.

* * *

Widzimy kogoś takiego: to jest spółdzielczość zjednoczona w jednej chłopsko-robotniczej centrali „Społem". Ma tysiące spółdzielni, młyny, magazyny, elewatory portowe, wielką centralę.

Nie trzeba jej dawać monopolu — ale trzeba dać jej wodze do ręki. Nie musi wyznaczać cen, ale powinna być dość silna, by w razie potrzeby poskromić anarchię.

Wolny rynek musi być zorganizowany — na wszelkie ewentualności żytnich kłopotów.

Gaj.

Dawne mosty warszawskie



Most na Wiśle pod Warszawą naprzeciw ul. Mostowej 1600 r.

(ze zbiorów Jerzego Brauna)

Mieszkańcy stolicy rozumieją dziś w jakich warunkach przeprawiali się Warszawianie przed czterystu laty i dlaczego Jan Kochanowski aż w 3-ch epigramatach polskich i czwartym łacińskim chwalił króla Zygmunta Augusta za pierwszy stały most na Wiśle pod Warszawą; w jednym z nich tak pisał poeta:

„Nieubłagana Wisło próżno wstrząsasz rogi,
Nalazł fortel Król August jako cię miał pożyć,
Bo krom wioseł, krom promów, już dziś suchą nogą
Twój grzbiet nieujeżdżony wszyscy deptać mogą.
Nie woła dziś przewoźnik: Wsiadaj kto ma wsiadać!...
Jednemu tylko Augustowi co ludami
Sprawiedliwie rządzi—Wisła okiełzać się daje!"

Stanisław Sarnicki współczesny Zygmuntowi Augustowi podaje, że pierwszy most na Wiśle pod Warszawą, wybudowany został w 1557 r.

Pierwszy most wybudowany został naprzeciwko ulicy Mostowej, gdyż życie miasta koncentrowało się wówczas w dzielnicy Starego Miasta. Napis na nim, o którym wspomina Sarnicki dochował się i znalazł się później w zbiorach Muzeum Narodowego; przekopiował go w 1827 r. Gołębiowski i podał w swoim „Opisaniu Warszawy". Istniały też długi czas i pale sterczące w Wiśle jako pozostałość po zniszczonym moście.

Sam przyczółek wzniesiony w kształcie wieży, zamieniony został następnie na skład prochu, a potem na więzienie, na którym Stanisław August kazał umieścić następujący napis: „Nie miejsce, ale zbrodnia ludzi hańbi". Dom ten długi czas znany był w Warszawie pod nazwą Prochowni.

Most ten woda uszkodziła w 1578 r., ale w 1582 r. został naprawiony z polecenia Królowej Anny. Niestety w 1603 r. ogromna powódź most zerwała. Jerzy Braun wydał w Kolonii w 1618 r. opis i widoki Warszawy tak pisząc o tym moście;

„Zygmunt August zbudował na Wiśle most drewniany, długi stóp 1150, który tak długością, jak wspaniałością widoku w całej Europie nie miał równego sobie, a podziw powszechny wywołał... Lecz jako Cycero powiada: „nie ma dzieła ludzkiego, któreby nie uległo przed siłą albo starością; most przed niewielu laty, pod naporem wód tak dalece uległ zagładzie, że najmniejszego śladu dziś po nim nie widzimy".

Później przez lat dwieście mosty w Warszawie pojawiają się tylko przygodnie pod naciskiem potrzeby chwilowej.

Po śmierci Zygmunta III Sejm Konwokacyjny w 1632 r. uchwalił budowę nowego mostu. Powtarzała się ta uchwała niemal na każdym sejmie elekcyjnym, przy czym budowano kilkakrotnie prowizoryczne mosty drewniane, ale trwały niedługo, bo zawsze powódź je znosiła.

Wreszcie Stanisławowi Augustowi postawiono za jeden z warunków do „pacta conventa" wybudowanie stałego mostu, niezależnie od prowizorycznego znajdującego się naprzeciw ul. Mostowej.

Ponieważ życie Warszawy przesunęło się w XVIII w. poza obręb Starego Miasta w stronę Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Swiatu — nowy most wybudowany został naprzeciw ul. Bednarskiej, koszt budowy wynosił 700.000 zł p., ale i ten most nie trwał długo. Wielka powódź zerwała go. W kilka lat później postawiono nowy most, który znów w 1853 r. padł pastwą Wisły i dopiero w 1864 r. inż. Kierbedź wybudował pierwszy most żelazny, łączący Nowy Zjazd z ul. Zygmuntowską.

Oprócz mostów wyżej wymienionych istniał w latach 1820 — 1830 jeszcze jeden most naprzeciw ul. Inflandzkiej, między Żoliborzem a Kościołem Najświętszej Marii Panny na Nowym Mieście, (mniej więcej w tym miejscu, gdzie później wybudowano most koło Cytadeli). Łączył on przedmieście Warszawy z Golędzinowem i uległ zniszczeniu podczas powstania listopadowego.

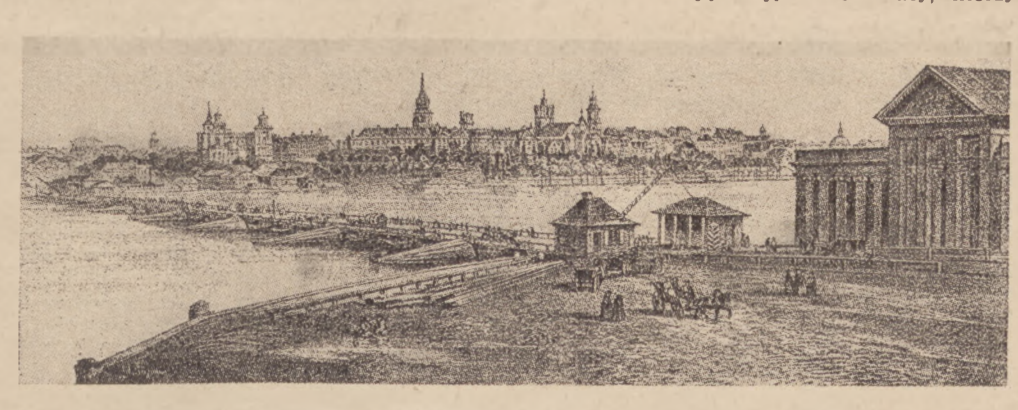
W 1906 r. wybudowano III most, nazwany następnie mostem Ks. Józefa Poniatowskiego, łączący Aleję 3-go Maja z Saską Kępą.

Wszystkie mosty uległy zniszczeniu w 1915 r. a odbudowane po wojnie wysadzili Niemcy w 1944 r.

Ludność Warszawy liczyła w 1830 r. 128.000 mieszkańców i miała wówczas trzy mosty. Może więc mają rację Warszawiacy, którzy chcieliby widzieć więcej mostów na Wiśle pod Warszawą, przy obecnym stanie ponad pół miliona mieszkańców.

Cieszą się jednak odbudowanym mostem Poniatowskiego i mają nadzieję, że Komitet Odbudowy Stolicy nie ograniczy się tylko do tego jednego mostu.

Marian Bogacz



Most na Wiśle pod Warszawą naprzeciw ul. Bednarskiej w 1854 r.

Czy folksdojcze?...

Adolf Rudnicki *(fragment utworu)*

Zaczyna się Sochaczew. Jest to pierwsza miejscowość, którą oglądamy po zbombardowaniu. Domki po obu stronach ulicy zburzone, kawały murów jakby żywcem wyrwane, poprzez wyrwy widać wnętrza mieszkań, żałosne jakieś malowanie ścian, obsypane gruzem meble, wnętrza sklepów: w jednym lśnią stosy bielutkich jak sól ustników. Ten obraz spustoszenia uderza jeszcze czymś. Ponad ulicą, ponad rozbitymi domami, ponad obnażonymi mieszkaniami i złupionymi sklepami unosi się wieczorna cisza, cisza cmentarna, cisza która następuje po rzezi, po pogromie, cisza będąca jak gdyby naturalnym następstwem gwałtu. Dwie osoby z opaskami przed gmachem poczty, to jedyni żywi ludzie, jakich widzimy z tutejszej ludności. Ścieżki są gęsto usiane zwłokami. Wyglądają one nadzwyczaj niepozornie: niewiele miejsca zajmuje martwy człowiek. Pod tartakiem leży ktoś. Wygląda tak, jakby zasnął zmęczony drogą, nie zdjąwszy nawet kapelusza z głowy. Ludzi przenosi się na ścieżki, natomiast konie odsuwa się nieznacznie na bok, aby nie tamowały przejazdu. Leżą te ogromne cielska, prawie wszystkie w takiej samej pozycji, z tylną nogą wyrzuconą i znieruchomiałą w powietrzu.

Piechurzy na szosie opowiadają. Pułk ich nieuzbrojony i nieumundurowany, od dłuższego czasu włóczył się po lasach. Dziś w południe rozległa się nagle strzelanina. Zaskoczył ich oddział motocyklistów nieprzyjacielskich. Nie było czym się bronić. Trochę żołnierzy padło, większość dostała się do niewoli, nieliczni zbiegli. Działo się to w jednym z lasów niedaleko stąd.

Ogień artylerii wzmaga się. Idziemy pochyleni i w napięciu. Na drodze pełno samochodów rozbitych, na pół spalonych, są i nieuszkodzone. Te są równie nieprzydatne jak rozbite, gdyż nie ma benzyny. Rozlega się warkot samolotu. Wszczyna się popłoch. Wraz z innymi uciekam w pole. Słychać szczęk karabinu maszynowego. To lotnicy strzelają: nie ma żadnej obrony. Karabin maszynowy zamilknie wtedy, gdy wyczerpie zapas amunicji. Samoloty nie odrywają się od szosy: mają tam dość ofiar. Lecą nad wierzbami z nonszalancją, której nic nie ukróci: nie ma czym. Wśród żołnierzy krążą rozmaite wieści na temat lotników. Niezwykle zaciekli mają być chłopcy przed dwudziestką w randze kapitanów.

Ścieżką polną idzie gromada kolejarzy w granatowych mundurach z podłużnymi emaliowanymi garnuszkami, zupełnie tak, jak gdyby wybierali się na nocną służbę. Niektórzy niosą również drobny bagaż. Maszerują od dłuższego czasu w poszukiwaniu dyrekcji kolejowej. Tą samą ścieżką idą kobiety. Wyszły pierwszego września z Tomaszowa, i dziś, po tygodniu, są jeszcze w drodze do Warszawy. Jedna z nich, w czarnej mantyli, w ciemnym słomkowym kapeluszu, chuda, dźwiga w obu rękach walizy. Dwoje drobnych dzieci biegnie za nią. Jedno z nich, dziewczynka dziesięcioletnia, o zielonej twarzyczce i dużych oczach, pozostaje w tyle, sił nie ma. Matka odwraca się coraz i łaje. Mała chce odpowiedzieć, ale mówić też sił nie ma. Jakiś żołnierz przystępuje do kobiety, chce jej pomóc, chce od niej wziąć bagaż, ale kobieta się nie zgadza. Nie ufa.

Dokucza mi pragnienie. Wstępuję do chaty, na skraju lasu. Izba duża, ślady zamożności. Na moje wejście zbiega się cała rodzina. Proszę o wodę. Wody nie ma. Ale sprzedadzą mi mleka. Podsuwają mi szklankę mleka. Nie mam odwagi pić. Kilka kobiet w różnym wieku, dwóch mężczyzn w wieku poborowym, staruszek, który na pół leży na pół siedzi w łóżku, przyglądają mi się jakby z drwiną. Gdzie mam karabin? Na pewno porzuciłem. W lesie pełno karabinów. Pytam młodych, czy nie otrzymali wezwania do wojska.

— Nie donieśli — odpowiada jeden z nich z krostami na twarzy.

—Czy nie będą uciekać do Warszawy?

— Nie.

Pytam czy są Polakami.

— Polacy — odpowiada staruszek w łóżku.

— Polacy ewangelicy — uzupełnia młody z krostami i uśmiecha się.

Nie spuszczają oka z nietkniętej szklanki, którą trzymam w ręku. Wreszcie wypijam... Nie, mleko nie było zatrute, ale żołnierz był zatruty wieściami o szpiegach, o chłopach sprzyjających nieprzyjacielowi; był zatruty pogłoskami o ostrzeliwaniu polskich oddziałów w polskich wsiach. Czułem drżenie w plecach, gdy młodzieniec wyprowadził mnie przez ciemne podwórze.

(Z utworu p.t. „Wrzesień", który niebawem ukaże się w wydaniu książkowym).

Errata. W części nakładu dzisiejszego wydania na stronie 4 w podpisie pod dolną dwuszpaltową kliszą umieszczono mylnie podpis, „Port rybacki w Tolkmicku", powinno być: „Port rybacki w Elblągu".

Co mój mąż robi w nocy, i co to kogo obchodzi?...

W robotniczej Łodzi, szedł do niedawna stary film „Co mój mąż robi w nocy?" A raczej szczątki filmu.

Cóż spowodowało, że kawałki starej taśmy sklejono na nowo jak skorupy talerza? Może talerz był zabytkiem? Nic podobnego. O filmie tym znajduję następującą wzmiankę w roczniku „Życie Sztuki" (1935):

„Mamy tu splot najbardziej niedorzecznych sytuacji o bardzo wątpliwej wartości moralnej. Na ekranie przesuwają się fraki, dekolty, bezmyślne twarze z nieistniejącego świata".

Uważacie państwo? Był to rok 1935! Od tej pory minęło 11 lat, z tego 6 — okropnej wojny. Opłakujemy miliony umarłych, chodzimy wśród ruin, ciężką pracą chcemy budować coś nowego. Tymczasem, w kinach, noszących wzniosłe nazwy: „Ojczyzna" i „Wolność" — idzie szmira „Co mój mąż robi w nocy?". Idzie „Wacuś", Jadzia wdowa", „Ja tu rządzę", „Dorożkarz Nr 13", „Znachor"...

Film jest produktem kulturalnym o wielkiej sile oddziaływania na masy. Dodajmy także: produkt ten może być i nieraz bywa pokarmem niezdrowym. A ponieważ z pokarmu tego korzystają miliony, film miliony może zatruć.

Prawdy stare i banalne, zgadzam się. Tak było przed wojną, pocóż do tego wracać? Wracam, bo ciągle jako filmowiec słyszę pytanie: dlaczego kina nadal wyświetlają Wacusiów, i Jadzie, i Znachorów, i Mężów w nocy, ową niewybredną kiełbaskę produkcji filmowej z przed wojny?

Dlaczego? Prawie rok temu na wielkim zebraniu filmowców mówiłem na ten temat:

„To bardzo źle, że wyświetlają! Lepiej nic nie wyświetlać, niż wyświetlać Jadzie Wdowy! Ten odcinek naszej działalności nie zasługuje na pochwały, nie tłumaczą go nawet doraźne potrzeby odbudowy!"

Mówiłem to jak dziad do obrazu. Bo „Film Polski" nie tylko wyświetla stare kopie przedwojennych kiczów; ale je nawet „multiplikuje" (np. „Znachor").

Czy są „okoliczności łagodzące" któreby usprawiedliwiały podobne praktyki? Więc, że teraz „ogórki", że nie ma filmów? W kinofikacji rozumują tak: musimy narazie puszczać co się da, żeby zdobyć pieniądze, ale za to za zdobyte tysiączki zrobimy arcydzieła!..

Wydaje się, że to „musimy" winno mieć jednak granice. Mianowicie — zwykłej przyzwoitości i elementarnej troski o „przewód pokarmowy" widza.

„Nowa instytucja filmowa, o której utworzenie zabiegamy, winna wypisać na wszystkich swoich kwitach i rachunkach dewizę: Film jest narzędziem kultury! — To znaczy pracownicy tej instytucji winni odróżniać rzeczy żywe od martwych, pożyteczne od szkodliwych".

Broń daje się do ręki tym, którzy umieją strzelać. Obawiam się, że poniektórzy pukają sobie z tej wspaniałej broni jaką jest film trochę jak wesoły Szwejk w lesie: dużo hałasu, mało korzyści, a nieraz — wyraźna szkoda.

Należy wycofać z ekranów „mężów robiących w nocy" Widz nowej Polski chce zobaczyć, co ludzie porabiają w dzień!

Antoni Bohdziewicz

• Portrety kobiet straszliwych •

Wystawa prac malarki polskiej p. Jadwigi Simon Pietkiewicz, długoletniej

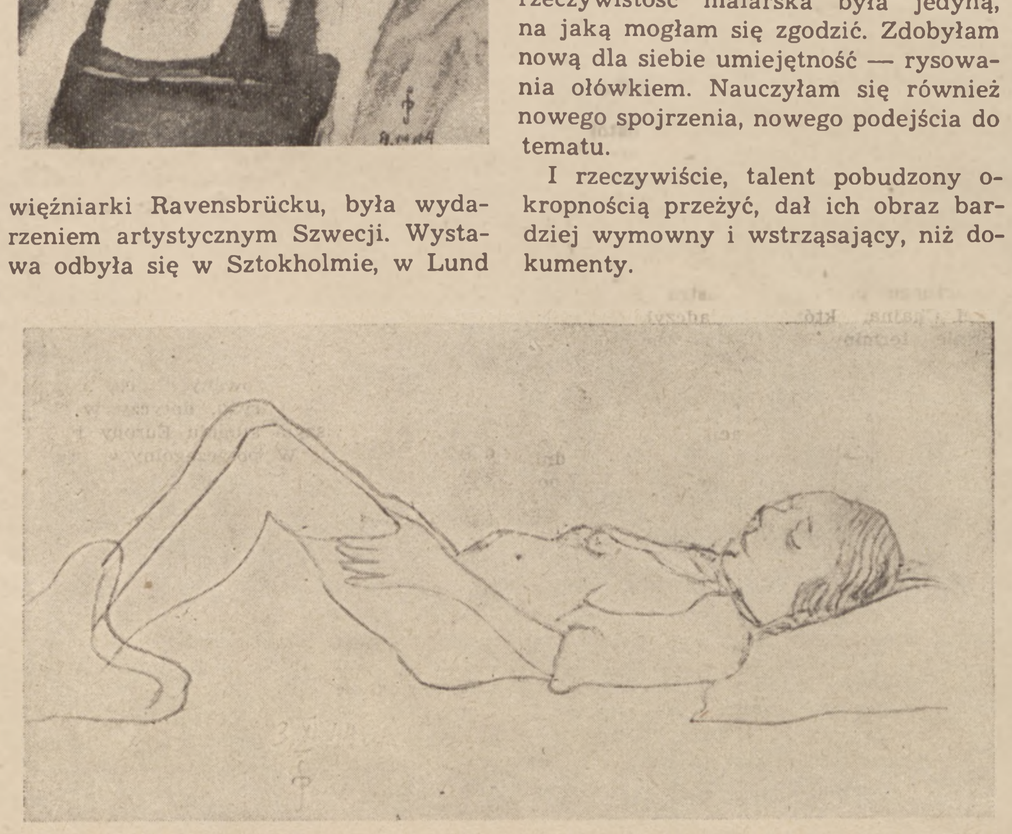


więźniarki Ravensbrücku, była wydarzeniem artystycznym Szwecji. Wystawa odbyła się w Sztokholmie, w Lund i w innych miastach szwedzkich, poczym została przeniesiona do Danii. Nabywcami obrazów byli m. in. król szwedzki (który kupił jedną z prac malarki polskiej, jako pierwszy obraz nabyty od chwili wybuchu wojny) i ks. Bernadotte.

Cykl p. t. „Portrety kobiet straszliwych" powstał w obozie. Modelami były współtowarzyszki więzienne. Obecnie p. Simon Pietkiewicz przyjechała do Polski.

— Malowanie było moją potrzebą i moim ratunkiem w piekle Ravensbrücku — mówi p. Simon Pietkiewicz w rozmowie z przedstawicielem „Tygodnia". — Malowałam na bibulastym papierze „blokowym", skradzionym w kancelarii. Udało mi się szczęśliwie ukryć moje prace. W koszmarnej, paradoksalnej rzeczywistości Ravensbrücku, rzeczywistość malarska była jedyną, na jaką mogłam się zgodzić. Zdobyłam nową dla siebie umiejętność — rysowania ołówkiem. Nauczyłam się również nowego spojrzenia, nowego podejścia do tematu.

I rzeczywiście, talent pobudzony okropnością przeżyć, dał ich obraz bardziej wymowny i wstrząsający, niż dokumenty.



Kronika kulturalna

GDYBYM BYŁ panem Jowialskim, zapytałbym czytelników tak: czy znacie bajkę Kryłowa o łabędziu, szczupaku i raku? Znacie? Więc słuchajcie. Pewnego razu łabędź, szczupak i rak postanowiły ciągnąć wóz ładowny. Zaprzęgły się więc we troje do niego. Wyłażą ze skóry, a wóz nie rusza się z miejsca. Zdawałoby się, że ładunek jest nawet dla nich lekki — lecz cóż? Łabędź rwie się w obłoki, rak cofa się w tył, a szczupak ciągnie do wody. Kto z nich jest winien, kto ma racje (taki morał wyprowadza bajkopisarz) nie sposób osądzić: sęk w tym, że wóz wciąż tkwi na miejscu. Ta bajeczka przychodzi na myśl gdy we wspaniale wydanym Nr 1/2 miesięcznika „Teatr" czyta się artykuł o „Radzie Teatralnej", powołanej do życia przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. „Rada" — jak opiewa jej statut — ma cztery zadania 1) przedstawianie ministrowi Kultury i Sztuki wniosków w sprawie potrzeb sztuki teatralnej i zasad organizacji życia teatru 2 opiniowanie rządowych projektów ustaw i rozporządzeń o charakterze zasadniczym dotyczących teatru, tudzież zgłaszanie do ministra Kultury i Sztuki własnych projektów w tym zakresie; 3) wskazywanie środków, prowadzących do upowszechnienia i pogłębienia kultury teatralnej; 4) załatwianie wszelkich spraw, przekazywanych jej przez ministra Kultury i Sztuki. Konia z rzędem temu, kto się rozezna w istocie i częściach składowych ładunku, jakim obciążono wóz Rady Teatralnej. A jego zaprzęg? Z listy mianowanych członków Rady widać, że są w nim łabędzie, jak Solski, Staff, Maria Dąbrowska, Teofil Trzciński; są tęgie szczupaki teatralne, jak Zelwerowicz, Szyfman, Bohdan Korzeniowski, Iwo Gall, Edmund Wierciński; ale obawiamy się, żeby w zaprzęgu nie znalazły się typowe raki.

WANDA ŁADWA, naczelniczka wydziału teatralnego Min. Kultury i Sztuki — rak, uwieczniony swego czasu w „Szpilkach" przez Janusza Minkiewicza, w tymże numerze „Teatru" zabiera głos w sprawie repertuaru teatrów polskich. Oto jej zdanie: „Potrzeba nam sztuk, w których ukazywałoby się novum naszej rzeczywistości... Nie chodzi o tanią apoteozę lub uproszczoną publicystykę teatralną, lecz o problematykę w całym jej skomplikowanym dramatycznym wyrazie. Trafna problematyka, to już połowa dobrego utworu scenicznego". Połowa? Naturalnie. Drugą połowę tworzą łabędzie.

W NUMERZE TRZECIM „Twórczości" z r.b. czytaliśmy przekład noweli Aragona p.t. „Prawo przestało istnieć", a w przekładzie co krok odurzały nas kwiaty językowe, w rodzaju takich: „bał się niebezpieczeństwa mogącego przyjść od strony niewyraźnych słów kobiety... znajdował się w złej skórze... niepokój, jaki w nim budziła Lotta, wywoływał dziury w jego odpowiedziach..." W jednym z numerów „Odrodzenia" znaleźliśmy opowiadanie Czechowa, którego tłumacz przekłada rosyjskie „jej-Bohu" (co znaczy „dalibóg" albo „jak Boga kocham") zapomocą „jak babcię kocham" (szkoda, że nie „jak babcię-drypcię") Kultura umiejętność przekładania upada u nas, i do tłumaczeń — zwłaszcza wobec popytu na rzeczy rosyjskie — zabierają się ludzie niepowołani. Ale czego się nie robi dla sławy i zdobycia tzw. forsy? Uwadze samorodnych tłumaczów należy polecić rzeczowy artykuł Gabriela Karskiego pt. „O sztuce przekładu", ogłoszony w numerze 2-gim dwutygodnika „Warszawa". Z artykułu dowiadujemy się również, że przy Związku Zawodowym Literatów Polskich wznowiła swe czynności Sekcja Tłumaczów, która powstała była na dwa lata przed wojną. Być może położy ona kres swobodzie, z jaką każdy dziś do tłumaczeń z języków obcych przystępuje.

St. Łatka

Jesteśmy bogatsi o 70 milionów dolarów

Minister Grosfeld w rozmowie z wysłannikiem „Tygodnia“ informuje:

Jesteśmy w stadium realizacji amerykańskiej pożyczki „demobilowej“ na 50 milionów dolarów. Odbywa się to w ten sposób, że specjalna komisja polska wybierą potrzebne nam obiekty ze znajdującego się w Europie demobilu amerykańskiego. Obiekty te są oceniane, zaliczane na poczet pożyczki i wysyłane do Polski.

Dotychczas wybraliśmy z amerykańskiego materiału, znajdującego się we Francji, sprzęt na sumę 23 milionów dolarów. Jest to: 200 lokomotyw, 1000 samochodów ciężarowych i traktorów z przyczepkami, 1500 jeepów z przyczepkami, 120 samochodów-czołgów, 4 dźwigi kolejowe, 9 kranów pływających, 1 warsztat pływający, 45 motorówek i holowników, 10 dźwigów portowych, 21 ruchomych warsztatów samochodowych, obrabiarki, maszyny budowlane, sprzęt radiowy, samoloty (12 samolotów Dakota zostało już dostarczonych do Polski i znajduje się w służbie; ponadto zarezerwowaliśmy sobie 250 samolotów sportowych), barki łodzie i inne obiekty pływające, części zapasowe dla lokomotyw, samochodów i t. d. Cały ten sprzęt został dla nas zarezerwowany i stopniowo będzie przewożony do Kraju.

Reszta demobilu, która się znajduje na terytorium francuskim, przechodzi zgodnie z umową amerykańsko-francuską na własność Francji. Wobec tego dalszy sprzęt na brakującą sumę 27 milionów dolarów wybierać będziemy na terenie Belgii, Holandii i Niemiec. Staramy się przede wszystkim o wagony - cysterny, wagony - chłodniki, do bre maszyny budowlane, części motorów, węglarki.

Na poczet reparacji wojennych, które Polska otrzymuje za pośrednictwem Z.S.R.R., została uzgodniona lista towarów, jakie mamy dostać.

Są to: **sole potasowe, benzyna syntetyczna, kauczuk, towary chemiczne, materiały drzewne, części mechaniczne, kuchenki elektryczne, maszyny do liczenia, aparaty fotograficzne i filmowe, instrumenty muzyczne, rękawiczki, kapelusze, pończochy, zegarki, pewna ilość klinkierytu.**

Jest to dopiero **zaliczka**, uzyskana z bieżącej produkcji niemieckiej. Na dalsze reparacje złożą się m. in. urządzenia fabryczne.

Minister Grosfeld w sposób następujący charakteryzuje uzyskane przez Polskę korzyści:

Reparacja i pożyczka „demobilowa“ wprowadzają na nasz wygłodzony rynek **zastrzyk w postaci sprzętu i towarów wartości 70 milionów dol.** Na tę wartość składają się: 1) **przedmioty użytkowe**, których brak daje się odczuwać dotkliwie, a których we własnym zakresie wyprodukować jeszcze nie jesteśmy w stanie; 2) — **sprzęt transportowy** dla dalszego usprawnienia i wzmożenia komunikacji i transportu. W tym wymienić należy osobno sprzęt pływający, który przyczyni się do powiększenia zdolności przeładunkowej naszych portów; 3) **maszyny budowlane** — przyczynią się do wzmożenia tempa odbudowy; 4) **obrabiarki**— wzmocnią nasz potencjał przemysłowy.



PRZED OTWARCIEM MOSTU PONIATOWSKIEGO

Rusztowania z mostu już odjęto. Ostatnie prace na nawierzchni dobiegają końca. Za dwa dni most zostanie oddany do użytku publicznego.

WIADOMOŚCI SPORTOWE

Jedną z największych imprez sportowych ubiegłego tygodnia był wyścig kolarski o mistrzostwo Polski na dystansie 200 km. Odbył się on na szosie pod Warszawą w kierunku Radomia. Na starcie stanęli mistrzowie poszczególnych województw. Zebrała się doborowa grupa najwybitniejszych kolarzy.

Walka na szosie przy niezbyt sprzyjających warunkach rozstrzygnęła się dopiero na samej mecie co świadczy o wyrównanym poziomie naszych czołowych kolarzy. Nie obeszło się bez kraks i wypadków uszkodzenia rowerów.

Mistrzem Polski został kolarz Poznania Kluj. Wicemistrzostwo zdobył reprezentant Warszawy Rzeźnicki, a dopiero na trzecim miejscu przybył Gabrych przedstawiciel grodu podwawelskiego. Mistrz Kluj zdobywając puchar Premiera Edwarda Osóbki-Morawskiego uzyskał doskonały czas 5.57.42.

We wszystkich okręgach w przyśpieszonym tempie zaczynają dobiegać końca mistrzostwa okręgowe. Pierwsze mecze o mistrzostwo Polski rozpoczną się już 4 sierpnia.

Pewna przerwa zaszła w lekkiej atletyce. Zawodnicy nasi szykują się do mistrzostw Europy.

Jak się dowiadujemy w ostatniej chwili, Walasiewiczówna wraca do kraju, a przedtem będzie ona reprezentować barwy polskie na zawodach o mistrzostwa Europy w Oslo.



Zawodnicy przed metą podczas burzy

Doniosłym wydarzeniem w ubiegłym tygodniu było powołanie do życia Państwowej Rady WF i PW. Na czele Rady stanął dr Zygmunt Galewicz.

Jednym z najciekawszych wydarzeń sportowym 21 i 22 b. m. odbędzie się w Czeladzi na Śląsku mecz międzyokręgowy w lekkiej atletyce między reprezentacjami Łodzi i Śląska w konkurencjach pań i panów.

PIERWSZY DOM TOWAROWY W ŁODZI OTWIERA SPÓŁDZIELNIA

W przeciągu jednej nocy z wielkiej cukierni Powszechnej Spółdzielni Spożywców (dawniej „Esplanada“) przy ul. Piotrkowskiej 100 powstał wielki dom towarowy, obejmujący prawie wszystkie działy, jak: włókienniczy, materiałów piśmiennych, naczyń kuchennych, zabawek, drogerię itp. (z wyjątkiem artykułów spożywczych i ciężkiego przemysłu).

Bardzo ruchliwe kierownictwo Powszechnej Spółdzielni Spożywców postawiło sobie za zadanie dostarczanie szerokim masom po cenach minimalnych różnych artykułów wytwarzanych przez fabryki spółdzielcze i zakłady rzemieślnicze.

Magazyn cieszy się wielkim powodzeniem i już w pierwszych dniach po otwarciu—obroty dzienne wynosiły pół miliona złotych.

Największym powodzeniem cieszy się dział włókienniczy. Na pierwszym piętrze mieści się również cukiernia licznie odwiedzana przez mieszkańców Łodzi z uwagi na niskie ceny.

Należy się spodziewać uruchomienia dalszych magazynów spółdzielczych tego typu, co przyczyni się w dużej mierze do obniżenia cen.



ZŁAMAĆ UMOWĘ CZY EKSPORTOWAĆ

Sfery gospodarcze Czechosłowacji doszły do przekonania, że eksport czeskich towarów za granicę jest za drogi. Artykuły produkcji czeskiej, jak np. samochody, nie mogą znaleźć dostatecznej ilości nabywców za granicą z powodu zbyt wysokiej ceny.

Zapobiec temu można, zdaniem czeskim tylko albo przez obniżenie wartości waluty, albo przez dumping czyli przez specjalne obniżenie ceny eksportowej w stosunku do cen wewnętrznych. Pierwsze wyjście jest niemożliwe ze względu na podpisanie umowy w Bretton Woods, która nie dopuszcza zmian kursu waluty bez zgody Funduszu Międzynarodowego.

Co Czesi zrobią, czy machną ręką na zobowiązania z Bretton Woods — czy obciążą krajowego konsumenta — pokaże przyszłość. Jedno jest pewne, że podpisywanie umów bez dokładnego zdania sobie sprawy z ich skutków, jest pociągnięciem bardzo ryzykownym.

Alkohol w spółdzielniach angielskich

Spółdzielczość ma za sobą szczytną kartę w dziejach walki z alkoholizmem. Niestety nie wypleniło to skłonności ludzkiej do alkoholu we wszelkiej postaci. — A tymczasem właściciele szynków i restauracji robili świetne interesy właśnie na tych skłonnościach.

Nie może więc nikogo dziwić, że oto ojczyzna spółdzielczości Anglia, w pewnym stopniu poszła na kompromis ze swymi członkami, którzy chcieliby spółdzielczo zaopatrywać się także w napoje alkoholowe. Kongres spółdzielczy w Blackpool uchwalił większością głosów, po długiej i zaciekłej dyskusji, że spółdzielniom angielskim wolno będzie, jeżeli tego zechcą, sprzedawać napoje alkoholowe przy czym postawiono dezyderat, aby na razie ograniczono się tylko do piwa.

Wydarzenia tygodnia z Polski i ze świata

WYBORY mają się odbyć w listopadzie. Po pierwszych wypowiedziach wybitnych w naszym życiu politycznym osobistości, nie precyzujących zresztą ich terminu, sprawa wyborów odeszła nieco na plan drugi. Termin jesienny został podtrzymany na zakończonym w poniedziałek Kongresie Str. Demokratycznego przez wiceministra Sprawiedliwości Chajna, który oświadczył, że tego właśnie terminu domaga się jego stronnictwo. Inne stronnictwa wysuwają również ten termin .To wszystko pozwala się spodziewać, że wybory istotnie odbędą się w jesieni, choć nie mamy jeszcze ordynacji wyborczej.

KONGRES SD obradował przez trzy dni. Dowiedzieliśmy się, że będzie utworzony nowy urząd wiceministra specjalnie dla inicjatywy prywatnej. Być może, przyczyni się to do ściślejszego określenia, czym jest inicjatywa prywatna, gdzie i jak ma się przejawiać. Istnieją tu bowiem różne trudności, szczególnie niebezpieczne dla wolnego rynku zbożowego, tak podatnego dla spekulacji z krzywdą zarówno wsi, jak i miasta.

ECHA KIELC odzywają się ciągle w Polsce. Wyrok, jaki zapadł na bezpośrednich sprawców kieleckiego pogromu, niestety, nie zamknął tej ponurej sprawy. Jej echa zostały wzmożone przez: 1) aresztowanie szefa wojewódzkiego urzędu U.B., komendanta M.O., jego zastępcy i komendanta komisariatu w Kielcach; 2) przez oświadczenie kardynała Hlonda dla korespondentów zagranicznych, zaatakowane w ostrym tonie przez „Robotnika“.

KONFERENCJA POKOJOWA podnosi temperaturę dyplomatyczną w krajach nie tylko bezpośrednio zainteresowanych. To, co będzie omawiane w Paryżu, dotyczy w większym lub mniejszym stopniu Europy i sięga daleko poza nią. W poszczególnych krajach gotują się do bliskiego wyjazdu delegacje. Dobiera się rzeczoznawców i wytrawnych dyplomatów. Zainteresowania nasze ograniczają się do sprawy zasadniczej, jaką jest utrwalenie bezpieczeństwa i pokoju, a zatem należytego rozwiązania zagadnień terytorialnych, by nie stały się one nowymi „beczkami prochu“. Nas mogą te sprawy bezpośrednio dotyczyć o tyle, o ile Czechosłowacja nie powstrzyma się od okazji, by wnieść na forum międzynarodowe swoich roszczeń, wysuniętych swego czasu jako kontrakcja w sprawie Zaolzia.

BOMBA ATOMOWA wybuchnąć ma za parę dni po raz piąty (dwie w Japonii w czasie wojny, trzecia na pustyni, czwarta nad Bikini) — tym razem w wodzie. Znów rośnie huczek po świecie o 6-kilometrowym słupie wody, o radiouaktywnieniu wód morskich. Tymczasem główny reżyser widowiska, wiceadmirał M. P. Blandy, wbrew tym wszystkim zapowiedziom przysuwa obserwatorów (na okrętach) bliżej sceny. Bez względu na to, jakie to zarządzenie obudziło uczucie w obserwatorach, inni obserwatorzy polityczni wskazują na zbieżność terminu eksperymentów z terminami ważnych zebrań politycznych. Efekt pierwszego doświadczenia spalił na panewce. Bez względu na skutki drugiego — ludzie miłujący pokój powtarzają, że bombą atomową bawić się nie należy. Trzeba oddać ją ciału zbiorowemu międzynarodowemu, które czuwać będzie nad tym żeby groźna energia została wykorzystana dla dobra ludzkości, nie dla jej zguby. To też rewelacja szwajcarskiego „Servir“ o tym jak Niemcy do spółki z Hiszpanami pracują nad sporządzeniem stu bomb atomowych, obudziły zrozumiałe zaniepokojenie.

Skleroza

POTWORNE LICZBY

„Dziennik Łódzki" (Nr 185) podaje za „Dziennikiem Ludowym" poniższą wstrząsającą wiadomość:

„Obecnie oblicza się w Polsce liczbę kobiet uprawiających nierząd w przybliżeniu na 30 tysięcy... Chorych wenerycznie kobiet jest ponad 60%, to znaczy około 18 tysięcy. Jeżeli każda z nich zarazi dziennie tylko kilku mężczyzn, to w ciągu dnia otrzymamy liczbę ponad 180 tysięcy nowych chorych, którzy z kolei dalej szerzą zarazę i tak dalej".

Rzeczywiście 180 tysięcy dziennie chorych mężczyzn, to w ciągu trzech miesięcy około 18 milionów. Z drugiej zaś strony, jeśli kobieta może (jak wynika z obliczenia) zarazić dziennie 10-ciu mężczyzn, należy przypuszczać, że jeden mężczyzna może z łatwością zarazić dziennie jedną kobietę.

A więc 18 milionów chorych mężczyzn zarazi w ciągu trzech miesięcy 18 milionów kobiet. 18 plus 18 daje w sumie 36 milionów. Przy 24 milionach ludności w Polsce, to się nazywa wyrobić ponad normę.

TYPOLOGIA, WZORY, KONCEPCJE...

W tygodniku „Wieś" (Nr 22/23) czytamy bardzo obszerny artykuł poświęcony zagadnieniom uniwersytetów ludowych. Autor wywodzi słusznie, że uniwersytety te winny być zbudowane na zasadach społecznych. Oto jego argumenty:

„Wobec tego, że w typologii wychowanków uniwersytetów ludowych przeważają druzgocące wzory biograficzne, które w swoim indywidualnym losie widzą wpływ systemu społecznego i walkę jednostek i grup z konserwatyzmem społeczeństwa uważają za rzeczywistość najbardziej ich obchodzącą, słuszne nam się wydaje w sporze o charakter uniwersytetów ludowych opowiedzieć się za społeczną wyłącznie koncepcją uniwersytetu ludowego. Pamiętamy bowiem o tym, że uniwersytety ludowe nie tylko odnoszą się do wsi, ale są również przez nią współwyznaczone. A zamówienie, jakie młodzież daje uniwersytetom, jest... tylko społeczne".

Ciekawe, jak chłop, dla którego „Wieś" jest przeznaczona, rozumie koncepcje swego uczonego autora.

Życie gospodarcze

JAK ZA DAWNYCH DOBRYCH CZASÓW...

Prasa szwajcarska donosi, że ciężki przemysł austriacki szybko się odradza. Zakłady Siemensa (filia potężnego koncernu elektrycznego w Niemczech) zatrudniają już 3.500 robotników; rafineria miedzi w Bruck/Murem rozbudowała się do tego stopnia, że będzie produkować około 6.000 ton miedzi rocznie. Veitscherowska fabryka magnezji ma zamiar już tego lata pracować z pełną wydajnością.

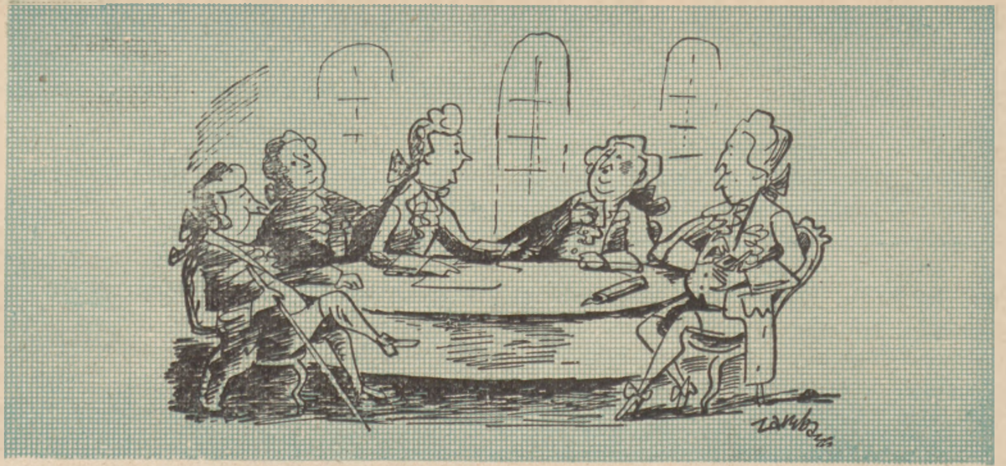
Jeżeli się zważy, że wszystkie te zakłady należą dalej do wielkich potentatów przemysłu niemieckiego (nie austriackiego), że dalej położone są one wyłącznie na terenie stref okupacyjnych amerykańskiej i angielskiej, powstaje pytanie, komu zależy na rozbudowie ciężkiego przemysłu w Austrii, który zawsze ciążyć będzie do Reichu, tym razem może IV-go.

NA DRUGIM MIEJSCU W EUROPIE

Przed wojną w produkcji węgla staliśmy na szóstym miejscu w Europie (bez Związku Radzieckiego). Po Anglii, Niemczech, Francji, Belgii i Holandii jakkolwiek wydajność naszego robotnika była najwyższą na świecie (1900 kg. na robotniko-dniówkę).

Dziś stoimy na drugim miejscu w Europie zaraz po Anglii a przed Niemcami, Francją, Belgią i Holandią. Zawdzięczać to należy nie tylko bogatym w węgiel zagłębiom Śląsko-Opolskiemu i Dolno-Śląskiemu, ale przede wszystkim wielkiemu wysiłkowi naszego robotnika, który ze zrujnowanych rabunkową gospodarką niemiecką kopalń węgla stara się wydobyć jaknajwięcej. Produkcja nasza kształtuje się, na podstawie cyfr miesięcznego wydobycia, mniej więcej na 45 — 48 mil.-ton rocznie, a po przeprowadzeniu koniecznych inwestycyj jeszcze może się podnieść.

Górnik francuski, belgijski czy holenderski, nie mówiąc już o niemieckim, pracuje w znacznie lepszych warunkach niż polski, nie umiał jednak osiągnąć poziomu swego polskiego kolegi. Warto o tym pamiętać, gdy się mówi o niedomaganiach przemysłu w Polsce.



Anegdoty historyczne

ODPOWIEDŹ MINISTRA

Ludwik XVIII przewodniczył pewnego dnia na posiedzeniu Rady Ministrów. Jeden z nich przez roztargnienie wyjął z kieszeni tabakierkę i położył ją na stole, co było oczywistym naruszeniem etykiety. Król okazał swoje niezadowolenie, wznosząc brwi do góry. Ale minister, nic sobie z tego nie robiąc, wydobył ponadto chustkę do nosa i położył ją obok tabakierki. Wówczas król, przerywając rozprawy, odezwał się głosem surowym:

— Mam wrażenie, że pan minister zamierza opróżnić całkiem swoje kieszenie.

Nie tracąc zimnej krwi, minister odpowiedział z uśmiechem:

— Zdaje się, najjaśniejszy panie, że jak na ministra lepiej jest, jeśli opróżnia swe kieszenie, niż miałby je napełniać.

Dowcipna, a pełna głębszego sensu odpowiedź wywołała szczere uznanie króla.

JAN BRZECHWA

OSZUST



Raz pewien oszust przez całe lato
Siedział w areszcie, siedział za kratą.
Wciąż sobie myślał: „Tam ptaszek lata,
„A ja tu siedzę. I w oknie krata".
Słońce padało z góry przez kraty,
Aż oszust stał się od krat kraciaty.
W areszcie bardzo było mu nudno
— „Krata — nie krata, ucieknę. Trudno!"
Przyszedł dozorca, a cela pusta,
Gdzie krata? Znikła! Nie ma oszusta!
Wszczął więc dozorca alarm w areszcie,
Pobiegł oszusta szukać na mieście,
Znalazł go łatwo, bez czasu straty,
Bo miał na sobie ubranie w kraty.

NAKRĘCANIE NOWEGO FILMU



Sierżant angielski filmuje grupę Hindusów przeprawiających się przez rzekę w pobliżu Meiktili w Burmie do filmu „Zwycięstwo Burmy"

(Britisch official Photo)

Następczyni Walasiewiczówny



Moderówna — najszybsza kobieta w Polsce

Mieczysława Moderówna zabłysnęła swoim lekkoatletycznym talentem dopiero w tym sezonie sportowym. Na zawodach eliminacyjnych przeprowadzonych w Warszawie przed wyłonieniem reprezentacji Polski na mistrzostwa Europy, mające się odbyć w Oslo zajęła ona dwa pierwsze miejsca w biegach krótkich na 60 mtr. i 100 mtr.

Czasy Moderówny chociaż nie są na skalę wyników „olimpijskich", to jednak zdobyła ona niekoronowany dotychczas jeszcze tytuł najszybszej kobiety w Polsce. Młoda ta sportsmenka z Pabianic z pod Łodzi rokuje najwspanialsze nadzieje na przyszłość, a że mamy w pamięci wspaniałe wyniki mistrzyni świata Stanisławy Walasiewiczówny, to też nic dziwnego, że chcemy widzieć w niej następczynię popularnej Stasi, która mieszka na drugiej półkuli ziemskiej.

Moderówna razem ze swymi koleżankami: Słomczewską, Hajducką i Mitan jest kandydatką do reprezentowania barw Polski w Oslo w biegu sztafetowym 4 × 100 mtr. Sama zaś, indywidualnie, może jeszcze startować w skoku wdal.

Znów w domu

Przetwory bez cukru

Pasteuryzacja jest najlepszym sposobem utrwalenia owoców bez cukru z zachowaniem jego zalet smakowych, aromatycznych i dietetycznych. Jest to podgrzewanie surowca w temperaturze 75° — 85° C, przez określony czas, (przeciętnie 15 — 25 minut). Jako opakowanie służy tania i łatwa do zdobycia butelka monopolowa, lub inna. Ponieważ cukier nie odgrywa w przetworach pasteuryzowanych roli konserwatora dodajemy go trochę do smaku 5% — 12%, lub nie dodajemy wcale. Niecukrzony surowiec przechowany w formie pół-fabrykatu doprawiamy w miarę użycia w ciągu zimy.

Dobór surowca: na przetwory pasteuryzowane w butelkach nadają się miękkie owoce zawierające kwasy: czereśnie, wiśnie, maliny, czarne jagody, jeżyny, poziomki, truskawki, agrest, pomidory, śliwki, żurawiny dają pierwszorzędny pół-fabrykat pasteuryzowany.

Owoce niedojrzałe, przejrzałe i nadpsute dają przetwór niepełnowartościowy, niepewny pod względem trwałości. Czereśnie i wiśnie płuczemy kilkakrotnie i drylujemy (usuwamy pestki). Wszystkie owoce oprócz malin, poziomek i jeżyn płuczemy kilkakrotnie. Śliwki drylujemy i mielemy przez maszynkę. Pomidory mielemy (sposób mało wskazany ze względu na utratę witaminy C), lub rozrywamy palcami. Na pomidory „rwane" potrzebna jest butelka o szerokiej szyjce jak dawniej agrestówka. Pierwsza pasteuryzacja: opłukane i rozdrobnione owoce rozgotujemy we własnym soku, lub z małym dodatkiem wody w temperaturze 85° C przez 10 minut (można dodać 5% cukru).

Druga pasteuryzacja: masę owocową wlewamy przez lejek do czystych wyparzonych butelek prawie do pełna, zatykamy korkiem z waty i wstawiamy do kotła z gorącą wodą. Kocioł powinien mieć podwójne dno dziurkowane, lub wyścielamy dno gazetami, sianem i pasteuryzujemy przy 85° C przez 20 minut. W tej samej wodzie wygotowujemy korki. Temperatura obowiązuje wewnątrz butelki, termometr zanurzamy do butelki z masą owocową i badamy temperaturę w czasie pasteuryzacji. Temperaturę otrzymujemy przez dolewanie zimnej wody do kotła.

Butelki natychmiast korkujemy wyparzonymi korkami i uszczelniamy parafiną lub lakiem.

Przetwory tak przyrządzone zachowują zapach i smak świeżego owocu. Przechowywać trzeba w miejscu suchym i chłodnym.

Barbara Malanowicz

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje w dni powszednie od 13 — 14-ej
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37 m. 1, tel. 14-906 ● Redakcja rękopisów nie zwraca ● Prenumerata miesięczna 30.— zł.
Konto P. K. O. Łódź VII Nr 4321 ● Drukarnia: Zakłady Graficzne „Społem" Łódź, ul. Andrzeja 63 ● D. 01428